

KAMIL PERT

# Dramat w domu obłąkanych

14

Powieść.

— Dobrześ zrobił! — odparł doktor zgorączkowany.

Poczem podszedł do niezamkniętej na klucz biblioteki i otworzył ją.

Panował w niej zwykły nieład. Na kilku półkach nagromadzone były książki, przeważnie w złym stanie, podarte i poplamione; na innych stały flaszki i pudełka, z różnymi przetworami farmaceutycznymi. Znajdowały się między nimi trzy paczki waty salicylowej. Jedna była nienaruszona, druga niemal całkowicie rozdarta, trzecia zaś ledwie odpieczętowana.

Doktor pochwycił ostatnią i pomacał ją z niepokojem.

Poczem zadowolony, uśmiechnął się jakimś gorzkim uśmiechem, rzucił paczkę na półkę, zamknął oba skrzydła drzwiczek od szafy i usiadł w szerokim fotelu, obitym skórą.

— Daj mi fajkę! — zawołał.

Jakób, który bacznie przyglądał się wszystkim poruszeniom doktora i uśmiechał się niepewnie, czy dwuznacznie, spełnił szybko rozkaz swego pana. W chwili zaś, gdy ten napychał fajkę tytoniem, usiadł przy nim poufale na zydełku.

— Co czytałeś? — spytał doktor, patrząc na młodego człowieka znużonymi oczami, w których malowała się szczerza życzliwość dla chłopca. Ten napół idyota, prawie dziecko, był jedyną istotą w domu, którą lubił i do której się przywiązał.

Jakóbek, z właściwym sobie wahaniem przy wymawianiu wyrazów, odpowiedział:

— „Wicehrabiego de Bragelonne“.

Doktor uśmiechnął się:

— A co w nim zrozumiałeś, mój biedny chłopcze?

Jakóbek znaczną część czasu spędzał na czytaniu felietonowych romansów, zapełniających bibliotekę byłego lekarza okrętowego. W rzeczy samej można było zapytać, jaką ograniczony jego umysł odnosi korzyść z tego czytania i czem w istocie jest ów umysł, o niespodzianych błyskach inteligencji, gąsniących nagle w mrokach, których przyczyn nie można było odgadnąć.

Idyota nie odpowiedział na pytanie, którego może nie dosłyszał, tak był zajęty myślą własną.

Poczem, po chwili, rzekł naawne:

— Wszakże król sam wybiera sobie pierwszego ministra, nieprawdaż?

Doktor uśmiechnął się:

— To zależy... Król, według dawnej mody, tak.

— A więc! — oświadczył Jakóbek, podnosząc oczy na doktora — gdy będę królem, pana zrobię moim pierwszym ministrem. Rządzić będziesz wszystkim, jak zechcesz.

Doktor zapalił fajkę.

— Dziękuję ci, mój drogi, za pierwszeństwo... Lecz chciej wiedzieć, że nie chodzi mi wcale o odegranie roli Sully'ego, albo kardynała Richelieu.

— Tak! tak! — mówił Jakóbek z naciskiem. — Będziesz pan moim ministrem i rządzić musisz!

— A powiedzże mi, z łaski swojej, w jakim kraju?

Wyraz tajemniczości przesunął się jak cień po twarzy idyoty.

— Cicho! sza! Powiem to panu później!... Teraz jeszcze nie można o tem mówić...

— A! Widzę, że nie otrzymałeś dotąd nominacji... więc i ja zaczekać muszę. To dobrze! mnie się nie spieszy.

Młody człowiek przysunął się bliżej do doktora i z oczami, jakby nurzającymi się w próżni, z twarzą skurzoną nagle przez wysiłek myśli, rzekł powoli:

— Czy pan nie wie, dlaczego chcę być królem?

— Daję słowo, że nie wiem! Powiem ci nadto, że jak na dzisiejsze czasy, nie jest to stanowisko do pozazdroszczenia...

Jakóbek tymczasem, pogrążony w swoich rojeniach, ciągnął dalej:

— Bo, gdy będę królem, ona wyjdzie za mnie!

Doktor wypuścił z ust olbrzymi kłęb dymu.

— Kto ona?... Anna Austriacka, czy pani de Montsoreau? — rzekł obojętnie, wiedział bowiem, że to są dwie ulubione bohaterki Jakóba.

Promyk inteligencji i namietności przebił nagle zasłonę mglistą, pokrywającą zwykle oczy idyoty. Głosem, również zmienionym, energicznym, poważniejszym, bardziej męskim, wymówił:

— Nie! nie!... ona!... pani Manescault!

Doktor drgnął i zdziwionym wzrokiem spojrzał na chłopca.

— Masz tobie! — szepnął do siebie niezadowolony, z szczerem współczuciem — u tego nieszczęśliwego dziecka gotowe teraz przemówić zmysły!

Jakóbek tymczasem potwierdzał gorączkowo to, co już powiedział:

— Teraz, kiedy on umarł... wyjdzie za mnie... gdy zostanę królem...

Doktor niemal gwałtownym ruchem położył rękę na ramieniu idyoty.

— Słuchaj mnie, Jakób! — rzekł z silnym naciskiem — nie trzeba myśleć teraz o podobnych głupstwach!... Czy słyszysz?... Pani Manescault nie może być żoną takiego jak ty biedaka!... Nie wyjdzie za ciebie nigdy! Nie powinienes myśleć o niej!

Fala krwi nabiegła do bladej twarzy młodzieńca i zaczerwieniła ją ponsem ognistym. Oczy jego zapalały obłędem. Zaciśnął zęby i zgrzytnął nimi gniewnie. Powstał z zydelka i ponury, rozzłoszczony, wyjął z uporem:

— Będzie moją żoną!... Nie odmówi, gdy zostanę królem.

Poczem lica jego wypogodziły się nagle, zaczął nucić i przestawiać meble w pokoju według swojej fantazyi. Zdawało się, że zapomniał zupełnie o myślach, które przed chwilą mózg jego zaprzętały.

Jintot patrzył na niego ze smutkiem, myśląc:

— Oto biedny chłopak, który prawdopodobnie życie zakończy w celi dla furjatów... Aż do przebudzenia się zmysłowych instynktów, był słodki, miły, dający się powodować... Obecnie staje się bydlęciem, a może nawet dzikiem zwierzęciem... Należy zwracać na niego pilną uwagę, gotów bowiem pewnego dnia rzucić się na doktorową... Wyniknęłyby stąd nowe przykre historie...

Poczem znużony wyczerpującą go pracą w szpitalu, wracając myślą do własnych kłopotów, poruszył się niespokojnie na fotelu.

— Byleby przedtem mimowoli nie wyrządził jeszcze jakiej krzywdy.

\* \* \*

Codziennie, po obiedzie, część służby w domu obłąkanych, nie przydzielona specjalnie do nadzoru chorych, miała dwie godziny wolne od zajęć. Wszyscy spieszyli z nich korzystać. Nie zdziwiło zatem nikogo, że nowo przyjeźci: Marya (nosząca w rzeczywistości imię Heleny) i Eugeniusz, zaraz po zjedzeniu obiadu, wymknęli się żwawo z zakładu. Ale towarzysze ich i towarzyszkę zdziwiłyby się niezawodnie, gdyby ujrzali naszą parę w dziesięć minut później, schodzącą się przed drzwiami urzędu policyjnego w Villeneuve i wkraczającą do biura rezolutnie, z miną osób, które czują się u siebie.

Guillaume czekał na nich w swoim gabinecie.

— Nic nowego? — zapytał.

— To zależy, panie komisarzu — odparł Eugeniusz.

I zaczął składać raport.

Zeby znaleźć coś podejrzanego, przeszukał na próżno nie tylko całe pomieszczenie doktora Jintota, ale również pokój jego służącego i wiernego sprzymierzeńca. Napróżno także próbował dowiedzieć się czegoś od tego ostatniego, zyskał tylko przy swych zabiegach niegrzeczną odprawę ze strony pana asystenta. Jednakże mniema, że istnieje jakaś tajemnica, łącząca doktora Jintota z Jakóbem, która wprawia lekarza w ciągły niepokój i każe mu czuwać pilnie nad młodym idyotą.

Wkońcu doszedł do wniosku, że:

— Doktor jest ogromnie kuty, nie sposób zatem wyciągnąć z niego jakiegokolwiek wyznania, więc przedewszystkiem wybadać należy chłopca, ale tego on sam załatwić nie zdoła.

Guillaume kręcił głową. Przypomnił sobie podobne zdanie dozorca Maurycego Berthaut i daną przez niego radę, aby do indagowania idyoty użyć pani Manescault. Zadowolnił się więc krótką odpowiedzią:

— Zobaczymy!

Poczem zwrócił wzrok na pseudo-pokojówkę i wezwał ją do mówienia z kolei.

Była to kobieta, licząca około lat trzydziestu, uchodzić mogąca za ładną, gdyby nie pewne skrzywienie twarzy, które — zwłaszcza, gdy się na nią patrzyło z profilu — szpeciło ją mocno. Patrząc na swego towarzysza, uśmiechnęła się pogardliwie i rzekła krótko, zwięźle i stanowczo:

— Pan Marceli Robertin przygotowuje się do ucieczki.

Komisarz podskoczył na krześle.

— Pan Robertin?

Ona potwierdziła:

— Tak. Niezawodnie.

— A pani Manescault?

— Nic nie wie o jego zamiarze.

— Czy panna jesteś tego pewną?

Wydobyła papier z kieszeni.

— Oto dowód.

— Co to jest?

— Kopia listu do siostry. Przed wyjazdem prawdopodobnie pozostawi go pan Marceli w jej pokoju.

Guillaume pochwycił papier i szybko przeczytał co następuje:

„Moja droga Julko!

Wyjeżdżam, bo przewiduję, że wkrótce będę areztowany, a tym razem lękam się, że nie zdołam się usprawiedliwić. Tobie, ukochana siostrzyczko, która byłaś dla mnie drugą matką, przysięgam na wszystko, co oboje mamy najświętszego, że jestem niewinny. Padam ofiarą fatalności, albo ohydnej jakiejś zmywy, nie wiem jednak, czy jednej czy drugiej, bo mi głowa pęka od rozmaitych przypuszczeń. Nie mogę ci wyznać nic więcej, otoczeni bowiem jesteśmy szpiegami, a nie chcę narazić się na zwiększenie przysługującego mi zbytnie ciężaru. Nie mogę również zawiadomić cię, dokąd się udaję. Wolno mi tylko powtórzyć raz jeszcze: jestem niewinny. Chciej w to wierzyć tak, jak wierzysz w własną niewinność. Myśl o twoim nieszczęśliwym bracie i kochaj go zawsze, cokolwiek bądź się stanie.

Marceli“.

Guillaume zapytał żwawo:

— Wyjeżdża, czy chce popełnić samobójstwo? Młoda kobieta poruszyła głowę.

— Odjeżdża, proszę pana. Od trzech dni, przyjacieli jego, pan Ludwik Marsol, prawdopodobnie zawiadomiony o tym zamiarze, wynosi skrycie z domu ubrania i bieliznę pana Robertina. Nadto, pan Marceli zmienił banknot na tysiąc franków, co świadczy, że potrzebuje drobniejszych pieniędzy, pięć zaś takich samych, jak zmieniony, umieścił w pugilaresie, który w dzień nie opuszcza ani na chwilę bocznej kieszeni jego tużurka. W nocy zaś kładzie go pod poduszkę.

— Czy widziałeś panna całą zawartość pugilaresu?

— Tak, panie komisarzu. Wydobyłam go z pod poduszki, gdy młody człowiek spał. Skoptowawszy wszystko, co się w nim znajdowało, wsunęłam na powrót tak, że tego nie czuł.

— Musi mieć ciężki sen?

— Nie, panie. To ja chodzę cicho i mam lekką rękę.

— Czy posiadasz panna listę tego, co znalazłaś w pugilaresie?

— Słuchę panu. Znajdzie pan na niej numera banknotów... List, pisany do pani Manescault, już pan przeczytał... Nadto znalazłam fotografię siostry i jakiegoś starszego pana. Przypuszczam, że to portret jego ojca. Zawinięty był w prospekt Towarzystwa Transatlantyckiego... Na prospekcie nakreślił otówkiem kilka cyfr, które dodawał... Przepisałam je także...

— Wybornie! — zawołał Guillaume. — Prospekt dowodzi, że młodzieniec pragnie zmykać morzem, a nie ulega wątpliwości, że dodawane cyfry wyobrażają ceny biletów na kolei, oraz na statku... Zbadawszy je pilnie, znajdziemy w nich prawdopodobnie ścisłą wskazówkę dokąd udać się zamierza.

— O, proszę pana! ja się już tego domyśliłam. Dziś rano pan Marceli wertował słownik geograficzny i zatrzymał się dłużej nad artykułem, poświęconym Ameryce środkowej, studiując z szczególniejszą uwagą opis miasta Colon w Rzeczypospolitej Panamskiej.

Guillaume z zadowoleniem przytakiwał pochylaniem głowy.

— Doskonale!... Wiemy już zatem, gdzie przebywać pragnie. Nie dopuścimy go jednak do wyjazdu... Czy myślisz, że ucieczka jego ma nastąpić natychmiast?

— Przejrzałam w dziennikach rozkład jazdy kolejowej i morskiej. Statek z Saint Nazaire do Colon, odplywa pojutrze wieczorem. Przypuszczam zatem, że pan Marceli zechce opuścić zakład w nocy, z jutra na pojutrze. Już w przeszłym tygodniu udawał ból głowy i cały dzień nie pozwolił wchodzić do swego pokoju. Prawdopodobnie ucieknie się do tegoż samego środka, co, jak mniema, wystarczy, aby zrana i w ciągu popołudnia nie spostrzeżono, że go już nie ma.

Guillaume zastanowił się chwilę.

— Jeśli zechce wyjechać w ciągu przyszłej nocy, to pójdzie naprzód do parku poszukać pudełka, które zakopał... A może nawet spróbuje jeszcze dziś wieczór... Tam do licha!... Nie mamy czasu do stracenia!...